

Anna Helena Kubiak



Od kuchni

Od kuchni

Copyright 2013 Anna Helena Kubiak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora

Od kuchni

1

– Kochanie, twoja córka chciałaby ci o czymś powiedzieć.

– Nie musisz jej anonsować, jest w końcu moją córką. – Naukowiec potrząsnął głową i wrócił do studiowania zawartości trzech pojemników, szybko zapominając o otaczającym go świecie.

– Możesz się na chwilę od tego oderwać? To ważna sprawa.

– Tak, oczywiście...

Niewidzące spojrzenie przemknęło po Yv i wróciwszy na bezcenne próbki, odzyskało swój naturalny blask.

– Mógłbyś przynajmniej czasem poświęcić nam tyle uwagi, ile poświęcasz swoim idiotycznym badaniom!

Skrzywił się. Żona rzadko posuwała się do takiego bluźnierstwa. Nie zdenerwował się jednak, bo wiedział, że sam ją do tego zmusza. Wyprostował się i odwrócił od stołu.

– No więc... – Yv nabrała powietrza i patrząc niepewnie w oczy męża, stwierdziła – Liz będzie miała dziecko.

Nelt zastanowił się. Głównie nad tym, ile jego córka ma lat.

– Można się było tego spodziewać po dziewczynie w jej wieku. I... bardzo się cieszę, naprawdę...

– Nie wszystko może ci się spodobać...

– Na przykład co?

– Hm... ojciec.

– Coś z nim nie tak? Kto to jest?

– Sam z nią porozmawiaj, nie mogę wiecznie pośredniczyć między wami. – Yv zawahała się i dodała – tylko bardzo cię proszę, postaraj się być wyrozumiały.

Wyszła, zostawiając go z poczuciem bezradności, jakie zwykle wywoływały w nim rodzicielskie obowiązki. Po chwili do laboratorium wśliznęła się Liz.

– Rozmawiałeś z mamą? – spytała.

– Tak – pokiwał głową. Chciał mieć to już za sobą. Rola ojca zawsze go przerastała. Był naukowcem, bo taki się już urodził, i nie mógł nic poradzić na to, że w kwestii wychowania dzieci metody naukowe zawodziły zawsze i we wszystkim.

– Nie jesteś zadowolony...

– Tego jeszcze nie wiem – stwierdził ostrożnie. Zbyt ostrożnie. – Nie powiedziała mi, kto jest tym szczęśliwcem.

– Maroo.

– Nie mówisz tego poważnie! – niemal krzyknął, w tym samym momencie zdając sobie sprawę ze swojego błędu.

– Wiedziałam – jęknęła Liz. – Od razu wiedziałam, że tak będzie!

– Przecież on jest dziesięć lat od ciebie starszy, a w dodatku jest... no... – pogrążył się dalej.

– Czarny. Wiem o tym. i nikogo oprócz ciebie to nie gorszy.

– Kochanie, jesteś jeszcze taka młoda...

– Tato, to już się stało – powiedziała poważnie. – Wkrótce będziesz dziadkiem i naprawdę zależy mi na tym, żebyś zaakceptował Maroo. Wiesz, że bardzo cię kocham, ale jestem już dorosła i zaczynam dorosłe życie.

Liz stała jeszcze przez chwilę, ale dopiero kiedy wyszła, Nelt zorientował się, że na coś czekała. Prawdopodobnie na to, że powie jej, że też ją kocha i zrobi wszystko, żeby była szczęśliwa. A on zawałił sprawę, jak zwykle.

Nie zamierzał tego tak zostawiać, musiał szybko zrobić coś, co przekona Liz, żonę i całą resztę, że nie jest nieodpowiedzialnym, bezdusznym egoistą. Bo przecież nie jest... Będzie musiał poważnie się nad tym zastanowić, jak tylko znajdzie chwilę czasu.

Nelt pochylił się nad stertą przedmiotów pozornie bezładnie rozrzuconych po stole i nagle wszystko inne wydało mu się odległe i nieistotne. To, co niedawno odkrył, spędzało mu sen z powiek. Wiedział, że w każdej chwili mogą znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie tylko jego najbliżsi, ale dosłownie wszyscy. Musiał jak najszybciej skończyć swoje badania i oddalić groźbę inwazji. Ale musiał też zebrać jednoznaczne dowody, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości, żeby w pełni zrozumiano powagę i możliwe konsekwencje jego odkrycia. Nie było to łatwe. Poruszał się po terenie, na którym jeszcze nigdy nikogo nie było.

Dlatego codzienne sprawy umykały mu ostatnio jeszcze bardziej niż zwykle.

2

Jim wrócił z pracy i postanowił dokończyć malowanie ściany w przedpokoju. Przebrał się w roboczą koszulę i rozejrzał za kubelkiem farby. Kolor nazywał się „zadymiona jesienna zieleń” i mężczyzna miał pewność, że żadna kobieta nie pozwoliłaby mu wymalować tym przedpokoju. Głównie dlatego go wybrał: to była taka mała demonstracja wyższości stanu kawalerskiego. Zaczął rozglądać się za farbą.

– Cholera, zostawiłem ją w kuchni – wymamrotał do siebie z pretensją; mogło to oznaczać, że nie będzie już miał czym malować.

Zajrzał do kuchni, żeby przekonać się, że farba faktycznie zniknęła.

– Przekłęte myszy!

Był przyzwyczajony do tego, że kradły mu jedzenie czy inne drobiazgi nieopatrznie zostawione w kuchni. Okrzyk „przekłęte myszy” musiał wydawać niemal codziennie. Ostatnio było to nawet bardziej pieszczotliwe i naprawdę się martwił, gdy przez kilka dni z rzędu wszystko zastawał nietknięte. Biegł wtedy do sklepu po coś dobrego, kładł koło szafki przy zlewie i wychodził do pobliskiej knajpy. Nigdy ich nie widział, ale mówił do nich często i miał nadzieję, że w końcu się odważą i wyjdą.

– Jeśli chcielibyście odmalować sobie norkę, to bym wam trochę odlał... – powiedział niepewnie.

Jakie myszy poradziłyby sobie z pięciolitrowym pojemnikiem farby? Może trochę je dokarmił, ale... Ciarki przeszły mu po plecach.

– Wychodzę, a jak wrócę, farba ma być na swoim miejscu! – powiedział, żeby dodać sobie otuchy, ale głos go zawiódł i w efekcie poczuł, że naprawdę zaczyna się bać.

Złapał kurtkę i wyszedł wyjątkowo szybko. Musiał się czegoś napić, no i znaleźć towarzystwo na noc. Wolał nie być sam.

W knajpie było dużo ludzi, ale nie zauważył nikogo znajomego. Zamówił drinka i usiadł przy barze.

Po kilkunastu minutach czyjś głos wyrwał go z jałowych rozmyślań nad znikającą farbą.

– Witaj, nie wyglądasz najlepiej... ale parę razy wyglądałeś gorzej – usłyszał.

– Sara? Jak dobrze, że cię widzę! – zawołał radośnie.

– To coś nowego.

– Możesz dzisiaj spać u mnie?

– Chyba za dużo wypięś!

– Nie! To nie to, co myślisz – zreflektował się. – Chodzi mi tylko o to, żebyś spędziła u mnie noc. No wiesz, pogadamy, obejrzymy coś. Nie musimy iść do łóżka... to znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Mnie też brakuje naszych pogawędek, ale obiecaj mi jedno: żadnych czułych powrotów. Wystarczy, że mnie przeprosisz i możemy zostać... znajomymi.

– Za co mam... – No tak, kobietom nie zadaje się takich pytań, zwłaszcza kiedy chce się je zaciągnąć do domu, wszystko jedno w jakim celu. – No właśnie, już dawno chciałem to zrobić. – Przełknął ślinę, żeby przygotować struny głosowe do wyartykułowania tego wyjątkowo trudnego wyrazu. – Przepraszam.

Przez moment studiował wyraz jej twarzy. Przygryzł usta, miał głęboką nadzieję, że nie zapyta, za co ją właściwie przeprosił.

– Oczywiście nie masz pojęcia, za co?

Jim spuścił wzrok.

– Znam facetów na wylot. To nie wasza wina, to pewnie coś w genach. – Machnęła ręką. – Jestem wystarczająco przybita. Jak chcesz, to możemy pójść do ciebie.

Poszli kilka kolejek później. Doszli do domu, rozmawiając i śmiejąc się jak za dawnych, dobrych czasów. Jim ze zdziwieniem zauważył nawet, że teraz znacznie lepiej się dogadują. Może nie wszystko było stracone?

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Jim dyskretnie zajrzał przez uchylone drzwi do kuchni. Nic się nie zmieniło, ale w tej chwili nie umiał ocenić, czy to dobrze, czy źle.

– Zrobię kawę – powiedział i wszedł do pomieszczenia.

Teraz, kiedy nie był sam, poczuł przypływ odwagi i postanowił wykorzystać go na inspekcję szafek. Czy mogło kryć się tam coś, co było odpowiedzialne za znikanie dużych przedmiotów? Coś, co musiało być większe i silniejsze od myszy?

Zanotował już zniknięcie pewnej ilości sztućców, płynu do mycia naczyń, walkmana i jedynej rośliny doniczkowej, która przetrzymywała długie okresy suszy i chyba kiedyś zakwitła. Najpierw nie przywiązywał do tego wagi. Zrzucał wszystko na roztargnienie albo znajomych, z którymi czasem wypijał parę piw. Większość

przypadków przypisywał myszom. Ale teraz nie miał już żadnych wątpliwości, tu działa się coś dziwnego.

Wziął się w garść: musiał z tym skończyć.

Z desperacją otwierał kolejne szafki, równocześnie trzymając się od nich na bezpieczną odległość.

– Kawa jest w tej pod oknem – usłyszał nagle głos dziewczyny.

Serce niemal stanęło mu ze strachu, usiadł na krześle, z trudem opanowując drżenie rąk.

– Dlaczego się skradasz? – zapytał po cichu. – Długo tu stoisz?

– Wystarczająco, żeby się zdziwić. Wiem, że masz bałagan, ale nie wiedziałam, że się go boisz.

Mężczyzna patrzył tępo na pootwierane drzwiczki.

– Należy mi się chyba jakieś wyjaśnienie?

– Mam... mam myszy – szepnął, jakby wyznawał jakiś mroczny sekret.

– Które wyskakują z szafek? Mógłbyś wymyślić coś bardziej...

– To są duże myszy – wszedł jej w słowo – naprawdę duże.

Sara nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować, ale jego udręczony wyraz twarzy powstrzymał ją od dalszych pytań.

Wrócili do pokoju i rozsiedli się na kanapie, po chwili zasnęli oboje pomimo mocnej kawy i zdecydowanie za głośnej muzyki.

Kilka kolejnych dni upłynęło w spokoju. Może dlatego że wracał wyjątkowo późno i wychodził skoro świt. Zaczął nawet rozglądać się za nowym mieszkaniem, ale bez większego zaangażowania; był przyzwyczajony do swojego małego lokum, a sprawa mogła mieć przecież jakieś banalne wytłumaczenie. Postanowił spróbować je znaleźć. Cokolwiek czaiło się w jego kuchni, na pewno nie było dużymi myszami. Parę innych rozwiązań przyszło mu już do głowy: telekineza, duchy, może UFO.

Zaczął od eksperymentów. Pozostawiony na stole kawałek żółtego sera zniknął. Jim zanotował to w notesie i następnego dnia zostawił książkę telefoniczną. Nie było jej, kiedy wrócił z pracy. Kolejno zniknęły: żelazko, butelka tequili i (czego żałował najbardziej) dziesięciocalowy telewizorek. Zostały natomiast: duży olejny obraz, aluminiowa drabina i spora gałąź. Po kilkunastu próbach sformułował pierwsze wnioski: waga przedmiotu nie miała znaczenia, natomiast jego rozmiary nie mogły przekraczać pewnej wielkości.

Pozytywną stroną tego zjawiska było to, że przynajmniej nie miewał już w kuchni bałaganu.

Duch sprzątaczk czy *co?* – pomyślał i dopisał jako podpunkt „a” pod „2. Duchy”.

Telekineza również miała rozwinięcie: „a. Sara, podświadoma zemsta”.

Jim kupił bądź wypożyczył wszelką dostępną literaturę na temat zjawisk ze swojej listy. Czytał je po pracy w barze, dopóki mógł rozróżnić litery.

Po zapoznaniu się ze stanowiskami uczonych, amatorów i naocznych świadków wiedział, że: po pierwsze, każde z tych zjawisk występuje nagminnie i może przejawiać się w taki sposób, jak w jego mieszkaniu; po drugie, zjawiska takie nie

występują w ogóle. Oba twierdzenia były udokumentowane, potwierdzone i ostateczne.

Stanąwszy w martwym punkcie, dopisał „4. Duże myszy” i kupił kota.

Chciał dorosłego, drapieżnego osobnika, ale uprzejmy pan w sklepie zoologicznym wytłumaczył mu, że takiego może złapać sobie sam w jednej z piwnic w gorszej dzielnicy, ale nawet jeśli uda mu się zaciągnąć zwierzę do domu, to szybko tego pożałuje, a kot i tak wróci na swoje stare śmieci (dosłownie).

– Proszę wziąć jakiegokolwiek kotka, a on będzie polował, to instynkt – powiedział sprzedawca i wcisnął mu w ręce puszysty kłębek.

Uzbrojony w kota niewiele większego od szczura Jim przekroczył próg swojego domu z nową nadzieją w sercu.

– Tu jest mój pokój, zrobię ci w kącie posłanie. w toalecie masz pojemnik ze zwirkami... no, wiesz do czego. Miseczki postawiłbym ci w kuchni, ale zaraz by zniknęły – wytłumaczył, stawiając mleko w drugim kącie pokoju. – Jeśli będziesz robił mniej bałaganu niż ja, to się dogadamy.

– Miau!

– Trzymam cię za słowo. Teraz dostaniesz mleko, ale jak tylko trochę podrośniesz, to masz się wziąć do roboty.

– Miau!

3

Zbliżał się dzień, w którym Nelt miał zaprezentować zgromadzeniu swoje wielkie odkrycie.

W końcu udało mu się połączyć wszystkie fakty w jedną spójną teorię, wiedział, że ma rację, i miał dowody. Teraz musiał przedstawić to tak, żeby przekonać resztę.

– Każde wielkie odkrycie było dziełem przypadku, wiemy o tym doskonale – przemówił do wyimaginowanego audytorium. – Banał – uznał z niesmakiem. – Odkrycie to zmieni nasz sposób widzenia i pojmowania rzeczywistości, a także, być może, kiedyś uratuje naszą cywilizację. Zgromadziłem wystarczający materiał, aby przekonać was o wadze tego odkrycia... Postawić skrzynię na podwyższeniu... Ujrzyście teraz dowody... No właśnie, na co to są dowody? – zastanowił się po raz kolejny. – Na wszystko i na nic... głównie na nic.

Przejrzał zawartość skrzyni. Potrzebował czegoś więcej, czegoś bardziej niezwykłego. Wiedział o tym i dlatego, pomimo ryzyka, wciąż odkładał zamknięcie przejścia.

Jeszcze jedna wyprawa – pomyślał i spojrzął z obrzydzeniem na workowaty skafander i niewygodną maskę. Był już na to za stary. Westchnął. *Muszę mieć coś naprawdę mocnego, coś, co nie pozostawi cienia wątpliwości... Muszę zdobyć futrzaka!* – zdecydował. Wiedział, że nie będzie to łatwe, ale stawka była zbyt wysoka.

Nie tracąc czasu, zabrał się do budowania pułapki. Aby nie wzbudzić niepotrzebnego zainteresowania, postanowił wykorzystać to, co miał w laboratorium.

Gdy był w połowie rozkładania jednego z regałów, uświadomił sobie, że od dłuższego czasu z głębi mieszkania napływają odgłosy krzątania, a z ogrodu narastający gwar rozmów.

– No pięknie... – szepnął do siebie. – To już dzisiaj?

– Jesteś gotowy? – zawołała Yv.

– Już prawie, zaraz do was przyjdę – odkrzyknął, starając się nie wpaść w panikę. Za nic nie mógł zawieść Liz, nie w tak ważnym dla niej dniu.

Doprowadził się do najlepszego stanu, jaki był możliwy po dwóch nieprzespanych nocach i walce z regałem.

Wszyscy już zebrali się w ogrodzie i czekali na niego i na mowę, którą obiecał przygotować. Chciał w ten sposób udowodnić córce, a przy okazji i sobie, że nie jest takim znów złym ojcem i że potrafi myśleć też o swojej rodzinie. i na pewno by to zrobił, gdyby nie zapomniał.

Po raz kolejny w swoim życiu poczuł się całkowicie zagubiony w roli rodzica; pierwsze, co przyszło mu do głowy, to udać osłabienie, nagły atak jakiejś choroby. Ale to była tylko przelotna myśl, nie mógł zrobić czegoś takiego, to byłoby poniżej jego godności. Nie było wyjścia, musiał improwizować, w końcu wymyślenie paru zdań nie powinno stanowić dla niego większego problemu.

Uśmiechnął się do gości, uściskał Liz i lekko skłonił głową Maroo. Miał nadzieję, że wyglądało to na wystarczająco serdeczne przywitanie. Zajął miejsce obok kapłana, który miał powitać nowego członka ich wspólnoty.

Tak naprawdę Nelt dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo kocha swoją córkę. Teraz, kiedy odchodziła z domu i to w dodatku z tym... i wcale nie chodziło o to, że był czarny, mógłby być i zielony... ale różnice były dużo głębsze niż kolor skóry, różnili się historią, kulturą, a przede wszystkim psychiką. To całe nowomodne gadanie o wolności wyboru! Miał nadzieję, że ten problem nigdy nie dosięgnie go osobiście, a teraz musiał patrzeć biernie, jak jego własne dziecko pakuje się w związek bez przyszłości. Jedyne słowa, które przychodziły mu do głowy to: „Nie rób tego! Jesteś jeszcze młoda, nie marnuj sobie życia!”. Ale czy tak mogła brzmieć jego mowa? Wiedział, że nie. Wiedział też, że nic innego teraz nie wymyśli. Odczekał chwilę, złapał się za głowę i czując się jak ostatni idiota i do tego kawał drania, osunął się na trawę.

– Co się stało? – kapłan pochylił się nad nim i pomógł wstać.

– To nic – wysapał. – Przepracowanie i za duże wzruszenie. Przepraszam, ale muszę usiąść. Przemówię do młodych w czasie przyjęcia.

– Dobrze. w takim razie teraz powiem parę słów od siebie.

Na szczęście Nelt rzeczywiście nie wyglądał najlepiej, no i nikt nie podejrzewałby go o taką farsę. Usiadł obok żony i odetchnął. Przynajmniej zyskał na czasie i miał pretekst, aby zaraz po ceremonii zamknąć się w laboratorium i wymyślić, co może im powiedzieć. Wiedział już, że nie będzie to łatwe zadanie. Wyprawa po futrzaka wydawała mu się teraz błahostką.

Pierwsza część dobiegła szczęśliwie końca i Nelt mógł wrócić do siebie. Miał sporo czasu, zanim młodzi odprawią wszystkie niezbędne rytuały i zrobi się na tyle ciemno, by rozpocząć przyjęcie tradycyjnym tańcem z pochodniami w ogrodzie.

Potrzebował czegoś miłego, mądrego i ojcowskiego. Naukowiec dreptał nerwowo tam i z powrotem, bezskutecznie zapędzając swoje myśli do pracy, ale, jak na złość, nic nie przychodziło mu do głowy. Doszedł w końcu do wniosku, że pójdzie mu lepiej, jeśli będzie coś robił. Coś, czyli pułapkę na futrzaka.

Rzeczywiście myśli popłynęły szybciej i już po paru chwilach miał doskonały początek:

– Cieszę się bardzo, że Liz obdaruje nas wkrótce wnukiem, wiem, że będzie wspaniałą, kochającą matką pomimo swojego młodego wieku. Chcę, Liz, żebyś wiedziała, że zawsze znajdziesz u nas wsparcie i pomoc, jakkolwiek potoczą się dalej twoje losy.

Tak, to było dobre. Czułe i rodzicielskie. Nelt wiedział, że trafił na właściwy trop, dalej powinno już pójść łatwo.

W tym momencie umocował ostatnią poprzeczkę w prowizorycznej pułapce i z zadowoleniem popatrzył na swoje dzieło. Sprawdził kilkakrotnie zdalne zamykanie drzwi przez energiczne pociągnięcie sznura. Przez otwór w przeciwległej ścianie włożył drugi sznur, na końcu którego przyczepił przynętę. Gdy wciągnie ją do środka, zwierzę wejdzie i już. *Genialny wynalazek musi być prosty* – pomyślał. *Teraz czas na zdobycie przynęty.*

– Już mi lepiej, przewietrzę się trochę – oznajmił, przechodząc przez dom pełen krzątających się kucharzy, dekoratorów i członków rodziny.

Z przyległej do domu szopy wziął wiadro i czerpak i tak zaopatrzony zaczął przemykać między drzewami, powoli zbliżając się do niewielkiej sadzawki z rybami.

Usiadł w osłoniętym od strony domu miejscu, nabrał wody do wiadra i nasypał w pobliżu brzegu trochę pokarmu. Gdy tylko nadpłynęły kolorowe ryby, rozpoczął łowy. Nie był w tym dobry i parę razy prawie wylądował w wodzie. w końcu jednak jego trud został uwieńczony sukcesem i wielka zielononiebieska ryba pluskała się w wiadrze. Była to jedna z ulubienic Yv i na pewno jej zniknięcie zostanie zauważone, ale nie miał teraz czasu na poprawki.

Obszedł dom i wstawił zdobycz przez okno do swojej pracowni. Czekają go jeszcze najgorsze: musiał zabić pupilka swojej żony. *Jak nisko jeszcze upadnę?* – pomyślał, mając świadomość, że dla dobra nauki zrobiłby prawie wszystko.

No właśnie, znowu zapomniał o swoim przemówieniu.

Jeśli szybko uwinę się z tą pułapką, to nic nie będzie mnie rozpraszało – przekonał sam siebie, uspokajając nieco sumienie.

Gdy ryba pływała już do góry brzuchem, odsłonił tajne przejście i zaczął zakładać prowizoryczną maskę.

Skafander był mu potrzebny tylko na dłuższe wyprawy. A teraz musiał załatwić to szybko: albo mu się uda, albo nie. Wiedział, że nie powinien tak ryzykować w tym dniu, ale to było silniejsze od niego.

Umocował przynętę i w tym momencie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi do laboratorium.

Yv znieruchomiała w połowie kroku. Ze zgrozą patrzyła na zniszczony regał, z którego wystawał rybi ogon, i męża w dziwacznej masce na głowie stojącego obok wyrwy w ścianie.

Patrzyli chwilę na siebie. Wreszcie Nelt zdjął maskę.

– Chyba muszę ci coś wyjaśnić.

– Jeśli jest to możliwe... – powiedziała załamującym się głosem Yv i usiadła. Wiedziała, że wyszła za naukowca i że wiele rzeczy może ją w życiu zaskoczyć. – Mów.

– Hm, muszę zacząć od początku. Jak wiesz, wszystkie wielkie odkrycia były przypadkowe...

– Możesz to ominąć?

– No tak, przepraszam. Jakiś czas temu pracowałem nad pewną substancją, trochę mi nie szło i cisnąłem próbką o ścianę...

– ...i przeżarło ją?!

– Nie. Rozlało się i tak zostało. Na drugi dzień zobaczyłem, że ściana robi się w tym miejscu jakby przezroczysta, a po dwóch dniach zniknęła.

– Ale dlaczego nie widać przez nią ogrodu? – Yv zamrugła, ale widok się nie zmienił, otwór prowadził do jakiegoś ciemnego pomieszczenia, choć za tą ścianą niczego takiego nie było. Poczula zawrót głowy.

– Ja też nie mogłem tego zrozumieć, ale teraz już wiem! – zawołał z entuzjazmem Nelt. – To jest przejście między równoległymi światami!

– Między czym?

– Różnymi rzeczywistościami. Po drugiej stronie znajduje się to samo miejsce w czasie i przestrzeni, ale inne. Stwierdziłem to, oglądając ich niebo – jest takie samo jak nasze.

Nelt wskazał na pudło z rzeczami, które dotychczas zebrał.

– Widzisz, to wszystko pochodzi stamtąd. Czegóż takiego u nas nie ma, nawet nie potrafilibyśmy tego zrobić.

Yv siedziała oszołomiona i nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić. Prawdopodobnie mąż postradał zmysły lub zatrzał się oparami jednego ze swoich wynalazków. A dziura była jakąś optyczną anomalią.

– Wiem, że nie wygląda to przekonująco, dlatego muszę pójść tam jeszcze raz i złapać pewne zwierzę.

– Po co ci ta maska? – spytała machinalnie, próbując równocześnie znaleźć jakies sensowne wyjaśnienie tej bezsensownej sytuacji.

– Nie można tam normalnie oddychać. w tamtym wymiarze mieszkają inteligentne stworzenia, ale z moich obserwacji wynika, że przybyły z innej planety...

– Z innej planety?

Yv była już pewna: jej mąż potrzebował pomocy, i to szybko. Postanowiła wysłuchać go do końca, a potem posłać kogoś po lekarza. Na pewno nie należało zostawiać go samego.

– Tak. Dopiero kiedy na to wpadłem, wszystko zaczęło się logicznie układać. Stworzenia te pochodzą z planety trochę różniącej się od naszej, ale mają tak rozwiniętą technikę, że potrafią przystosować warunki do swoich potrzeb. Uzdatniają powietrze i wodę. Mam tu próbkę, uwierz mi, ta ilość wody mogłaby mnie zabić. A gdy pierwszy raz odważyłem się tam zajrzeć, o mało się nie udusiłem. Musiałem

zrobić odpowiedni filtr, a na dłuższe wypadki nawet kombinezon. Ich planeta musiała być też dużo cieplejsza od naszej, bo ciągle okrywają się specjalnymi ubraniami, zresztą i z tym coś już robią, bo zawsze jest po tamtej stronie trochę cieplej niż u nas. Wydaje się, że nawet nie uodpornili się jeszcze na tutejsze zarazki, bo często odkażają swoje organizmy.

Naukowiec wyjął z pudełka butelkę wykonaną w niezwykle sposób, naprawdę wyglądała jak z innego świata. Yv przyjrzała się jej dokładnie.

– To jest substancja, którą zażywają. To dziwne, bo sądząc po zmianach, jakich dokonali, muszą tu być już od dawna. Nawet rośliny i zwierzęta wyglądają inaczej, choć wyraźnie są spokrewnione z naszymi. Spójrz na to wszystko!

Kolejne przedmioty były naprawdę zadziwiające. Nieznana roślina, zbiór bardzo precyzyjnych rysunków zwierząt, metalowe narzędzia ozdobione tajemniczymi wzorami, delikatne tkaniny, jakieś naczynia o niejasnym przeznaczeniu i kilka rzeczy zakończonych czarnymi sznurkami z rozwidleniem na końcu.

– To niesamowite! – wyszeptła Yv, do której dotarło, że jej mąż nie zwariował, prawda była o wiele gorsza. – To niemożliwe!

Długo oglądała wszystkie znaleziska, aż zatrzymała się na wyobrażeniach zwierząt.

– A my? My też wyglądamy tam inaczej? – zapytała.

– Pamiętaj, że to nie ma znaczenia – zaczął ostrożnie. – My jesteśmy tu. Tam... tam w ogóle nie ma naszego gatunku.

– Ale... dlaczego? Jak to możliwe?

– Nie wiem, wciąż mam za mało danych. Być może nasi przodkowie zostali celowo wybici przez przybyszów, a może nie zdołali przystosować się do zmian środowiska... Pozostaje się cieszyć, że w naszej rzeczywistości nie udało im się tu dotrzeć.

– Na razie, ale przecież gdzieś tam są. Mogą przybyć w każdej chwili!

– Chyba szanse na to są niewielkie. Jednak pewne ryzyko istnieje i dlatego trzeba znaleźć ich słabe punkty. Wtedy będziemy przygotowani, jeśli kiedykolwiek będą chcieli zabrać nam naszą planetę.

– A jeśli odkryją teraz twoje przejście?! Na pewno zauważyli zaginięcie tego wszystkiego!

– Chciałem już je zamknąć, ale doszedłem do wniosku, że niezbędna jest jeszcze ta jedna, ostatnia wyprawa. Mam już gotowy preparat, który neutralizuje...

– Musisz tam iść? – przerwała mu. – Przecież masz już to wszystko!

– Sama widzisz, że sprawa jest bardzo poważna. To zwierzę dostarczy nam wiele dodatkowej wiedzy i będzie niepodważalnym dowodem na istnienie tego drugiego świata.

– Pewnie masz rację, ale boję się o siebie...

– Niepotrzebnie.

Jim siedział w kuchni z kotem na kolanach. To była jedna z tych poważnych rozmów, których żaden z nich nie lubił, a które były nieuniknione.

– Myślałem, że umowa była jasna – zaczął Jim. Kot ziewnął. – Masz łowić myszy... sam! Nie mogę przesiadywać z tobą w kuchni, bo wtedy nigdy nie wyjdą.

Wątkował ten temat, od kiedy zwierzak stał się wystarczająco duży, żeby zrezygnować z mleka. Owszem, zaczął jeść pokarm z puszki, ale do polowania wcale się nie kwapił. W kuchni przebywał tylko w towarzystwie swojego pana, a kiedy przechodził przez przedpokój, omijał jej drzwi tak szerokim łukiem, że szorował bokiem o przeciwległą ścianę.

– Dzisiaj posiedzę z tobą ostatni raz. Jutro będziesz zdany tylko na siebie. Zrozumiano?! – Kot zwinął się w kłębek i zasnął. – Co, czas na piętnastą dzienną drzemkę?

Kolejny udany wieczór – pomyślał z rezygnacją mężczyzna, nalewając sobie solidną porcję whisky. *Przynajmniej piję do kota, a nie do lustra.*

Mało kto go teraz odwiedzał. Właściwie od paru tygodni nie spotykał się z nikim poza pracą, a nawet tam unikał rozmów dłuższych niż standardowe powitanie. Miał obsesję i powoli zaczynał zdawać sobie z tego sprawę.

– Chyba najwyższy czas odwiedzić psychiatrę – zwierzył się śpiącemu kotu. – Normalni ludzie tak się nie zachowują... ale co ja mam zrobić?! Nikt mi nie pomógł, nawet ksiądz wyzwał mnie od heretyków, a chyba egzorcyzmy należą do jego obowiązków, no nie?

Westchnął i spróbował zmienić niewygodną pozycję, kot zareagował wczepieniem się pazurami w spodnie i ostrzegawczym machnięciem ogona.

Powoli zapadła noc, w butelce zostały smętne resztki. Jim stwierdził, że jak tak dalej pójdzie, to przesiedzi tu swoje najlepsze lata. I nawet nie dorobi się wnuków, które mógłby zabawiać opowieściami o tym, jak ich dziadek spędził pół wieku w kuchni, wyczekując pojawienia się myszy.

Kiedy był w trakcie tych przemyśleń, jego podświadomość usiłowała go otrzeźwić... I nagle otrzeźwił.

Zza szafki dobiegał chrobot. Coś powoli przesuwało się w stronę drzwiczek. Jim wstrzymał oddech i ścisnął butelkę, aż pobiełały mu palce. Coś bardzo ostrożnie uchyliło drzwiczki i odczekało dłuższą chwilę. Potem z szafki wysunęła się niewielka plastikowa torba na grubym, różowym kiju. Rozejrzała się i najwyraźniej nie zauważyła nikogo, bo wysuwała się dalej. Kij okazał się czymś giętkim, co rozszerzało się ku dołowi, aż... zwierzę wygramoliło się w całości i jeszcze raz uważnie rozejrzało dookoła. Tym razem Jim znalazł się w zasięgu jego wzroku. Stwór znieruchomiał i starał się udawać, że go nie ma.

Jim bardzo chciał przetrzeć oczy, ale z wrażenia nie mógł się ruszyć: przed nim stał sięgający mu do kolan różowy dinozaur z torbą na głowie.

– B... b... b... bierz... go – wyjąkał mężczyzna i spostrzegł, że po zdradzieckim kocie nie zostało nawet śladu.

Dinozaur zaczął się wycofywać.

– Poczekaj...

Ogon i tylne łapy były już w szafce.

– Poczekaj... muszę cię złapać! – Jim zawołał z determinacją i rzucił się za znikającym intruzem.

Włożył głowę do szafki i zobaczył w jej tylnej ścianie otwór, przez który właśnie przełaził stwór. Wcisnął się głębiej i o mało nie zwariował, choć był pewien, że tak się właśnie stało. Szafka praktycznie stykała się ze ścianą. Przynajmniej do tej pory. Teraz zamiast wąskiej szczeliny za jej tylną ścianką ujrzął przestronne pomieszczenie. Było niewysokie, zagracone miniaturowymi meblami, na półkach i stolikach leżały sterty prymitywnych przedmiotów. Pomimo szoku zauważył między nimi swoje zagubione rzeczy.

Ostry ból na policzku uświadomił mu, że w pokoiku są też dwa rozwścieczone dinozaury, które zaczęły właśnie obrzucać go wszystkim, co podwinęło się pod ich małe, ale wystarczająco zwinne łapki.

Spróbował przeciągnąć rękę i zaklinał się na dobre.

– Przestańcie! – krzyknął.

Na chwilę przestały. Jeden z nich zniknął za małymi drzwiczkami. Drugi zerwał z głowy torebkę, podbiegł do półki i wziął z niej kilka naczyń.

– Hej, ty! – zawołał Jim, a różowe zwierzę podskoczyło i wylało na siebie zawartość pojemników.

Zdenerwowało się jeszcze bardziej i pobiegło po nowe, głośno pokrzykując w stronę drzwiczek.

– Pijackie majaki – mruknął mężczyzna. – Rzucam picie – zadeklarował, ale mimo to wizja nie zniknęła.

Nagle do pokoiku wpadło całe stado malutkich dinozaurów. Były bardzo podobne do dwóch pierwszych, tylko niektóre z nich były ciemnoszare. Zauważył, że miały prawie ludzkie ręce, dzięki czemu mogły trzymać pochodnie i oczywiście rzucać w niego czym popadnie.

Jeden z tych ciemniejszych był wyjątkowo zjadliwy i posunął się nawet do tego, że poparzył mu brodę. Potem Jim nie widział już nic, skutecznie zalany mieszaniną śmierdzących niemiłosiernie cieczy.

Z trudem wycofał się z pułapki, szybko przetarł twarz i wyciągnął rękę z powrotem. Musiał złapać chociaż jednego!

Jego ręka napotkała jednak na przeszkodę. Spojrzał z niedowierzaniem na tylną ściankę szafki. Na wszelki wypadek jeszcze raz przetarł oczy, potem opukał miejsce, w którym przed chwilą była wyrwa. Nie było jej tam. Zerwał się na nogi i odsunął szafkę. Nie znalazł za nią niczego ciekawego, jeśli nie liczyć starej, zaschniętej plamy.

Gdyby nie poparzenie na brodzie i lepkie pozostałości na twarzy i włosach, uznałby, że znów zdecydowanie przesadził z alkoholem, zdarzało mu się w końcu budzić w dziwniejszych miejscach niż kuchenna szafka... Ale to nie było to. Nie miał złudzeń: to musiały być jakieś poważne psychiczne zaburzenia, nie wykluczone, że stanowił zagrożenie dla własnego zdrowia, a może nawet życia. Potrzebował pomocy. Wszystko jedno jakiej.

Był środek nocy, ale tak długo walił w drzwi sąsiedniego mieszkania, aż usłyszał kilka rzuconych pod swoim adresem wymyślnych epitetów, w życiu nic go tak nie ucieszyło.

– Co... co się stało?! – w drzwiach stał mężczyzna, którego spotykał czasem na korytarzu, wymieniając grzecznościowe „dzień dobry”. Teraz chętnie by go uściskał.

– Proszę mi pomóc! u mnie w kuchni są bardzo złośliwe dinozaury!

– Czy pan... – Sąsiad przyjrzał mu się uważnie. Jim nie wyglądał na pijanego, ale nie wyglądał dobrze. – Takie wielkie... prehistoryczne?

– Nie, nie... małe, różowe i takie ciemniejsze, jeszcze gorsze...

– Proszę, niech pan usiądzie, zaraz zadzwonię po kogo trzeba. – Ton jego głosu jednoznacznie sugerował, że nie ma na myśli dyrektora cyrku ani ekipy z zoo. Jimowi jak najbardziej to odpowiadało.

– Dziękuję...

5

Tymczasem po drugiej stronie międzywymiarowego przejścia, które było teraz kolorową plamą na ścianie, trwało milczenie. Goście i domownicy patrzyli na Nelta szeroko otwartymi oczami.

– Przepraszam Liz – odezwał się w końcu. – Nie chciałem ci zepsuć tego dnia.

Dziewczyna usiłowała pozbierać myśli. – Tato, co to było?

– To? To długa historia...

– Potrafisz to wyjaśnić?!

– Tak.

– Czy ten potwór – spytała słabym głosem Yv – nie wyjdzie z powrotem?

– Nie, to niemożliwe. Związki zneutralizowały się i przejście się zamknęło.

– Ale jak ktoś gdzieś znowu wyleje taką substancję?

– To mało prawdopodobne. Była bardzo skomplikowana i do niczego się nie nadawała, w dodatku zadziałała dopiero w zetknięciu z jakimś związkiem, który był akurat w tym miejscu w tamtym świecie. Za dużo zbiegów okoliczności. Myślę, że możemy spać spokojnie.

– Nie sądzę, żebym szybko zasnęła! – Yv trzęsa się po sam koniec ogona. – Może wyjdziemy do ogrodu – wyjąkała – a mąż opowie o tym, co odkrył, dobrze?

Był środek nocy. Wokół paliły się ceremonialne pochodnie. Goście rozsiedli się na trawie, aby wysłuchać najstraszniejszej historii w swoim życiu.

Lipiec 98

Po więcej opowiadań zapraszam do mojej e-szafłady:

<http://ahkubiak.ovh/>